NR. 1 NIEDZIELA 11, STYCZNIA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



DO DZIECI

Jak do podtrzymania życia potrzebne są pokarmy, światło, ciepło i powietrze, tak samo dla podtrzymania w nas radości życia niezbędne są rozrywki, które każą zapominać o troskach dnia codziennego.

Wiosna i lato same przez się dają tyle przyjemności i zadowolenia, dostępnych dla wszystkich, że w okresie tym zbędne są zgóry naznaczone terminy i jakieś sztuczne święta.

Zato jesień i zima, wlokąc za sobą krótkie, pochmurne dnie i dotkliwe mrozy, przerwane są najmilszemi, najbliższemi sercu świętami, świętami Bożego Narodzenia. To też wszyscy, ci którzy kochają dzieci, pragnęliby, by w tym radosnym okresie nie było dzieci smutnych, by nawet najbiedniejsze miały dzień Swojej Gwiazdki, dzień uciechy i wesela.

W tym celu Rob. Tow. Przyjaciół Dzieci w dniu 4 stycznia zorganizowało choinki dla najuboższej dziatwy w różnych punktach Warszawy.

Ale to jeszcze nie koniec przyjemności, które dla Was, drogie dzieci, przeznacza Rob. Towarzystwo Waszych przyjaciół

d. 25 stycznia o godz. 12-ej
w teatrze ATENEUM ul. Czer. Krzyża 20 odbędzie się PORANEK, wykonany na zakończenie „Gwiazdki" przez dzieci Ogniska - Wzorówki Warszawskiego Oddziału Rob. Tow. Przyjaciół Dzieci.

Szczegółów dowiecie się w programach. Zapewniam was, że jest on bardzo urozmaicony, bogaty i ciekawy, i niewątpliwie gorąco oklaskiwać będziecie waszych rówieśników, by podziękować im za piękne widowisko.

Niech więc wszyscy nasi czytelnicy z Warszawy zjawią się w dniu tym w teatrze Ateneum, i wezmą udział w przedstawieniu, urządzonem przez dzieci dla dzieci.

List dzieci bezrobotnych w Polsce niepodległej

Polska od lat dwunastu rządzić sobą może,
bo zerwane zostały jej niewoli pęta,
ma już swoich ministrów, rząd i w Imię Boże
wybranego przez naród swego prezydenta.

A tymczasem my, dzieci, ciągle głodujemy,
nic się nie poprawiło w miastach, ni na roli,
więc może nam kto powie, niechże się dowiemy,
od kogo dziś zależy kres naszej niedoli?

Do jakich władz przemożnych zwrócić się potrzeba,
Żeby wszystkim tatusiom dano pracę stałą?
Żadne dziecko nie będzie w Polsce głodowało,
Jeśli tatuś zarobi na kawałek chleba.

Sniegowy Bałwanek

Rojno i gwarno było na podwórku od samego rana. Śnieg zaczął padań w przeddzień wieczorem, nie ustawał przez całą noc, więc wszędzie nagromadziło się dużo białego, zimnego puchu. Przymrozek był lekki, ledwie, że trochę szczypał i różowił policzki, to też dziatwa, korzystając ze Świąt Bożego Narodzenia, gromadnie wysypała się z mieszkań.

Najmłodsi z uciechą dreptali po najgłębszym śniegu, zapadali się po kolana, gramolili pociesznie i wybuchali szczerym, serdecznym śmiechem.

Ochoczo zabrano się do roboty. Wspólnemi siłami ulepiono ogromną bryłę śniegu, na niej postawiono drugą mniejszą, okrągłą, która miała być głową; potem znalazły się dwa kawałki węgla na oczy, marchewki na nos i usta, a Marysia przyniosła dużą glinianą formę od pieczenia babek, a że była trochę nadtłuczona i nie mogła już służyć do ciasta, więc włożono ją na głowę Bałwanka zamiast kapelusza.

W kącie sieni stał ogromny drapak— stara miotła, zapomniany przez dozorcę,





Starsi rozbiegli się po całem podwórku: jedni ślizgali się na podeszwach po zamarzniętych rynsztokach, drudzy obrzucali się wzajemnie śniegiem wśród głośnych krzyków i nawoływań. Antoś przyciągnął zrobione przez siebie sanki ze starej paki i woził w nich maleńką siostrzyczkę.

— Zróbmy bałwana ze śniegu — rzucił nagle Henio.

— Dobrze, dobrze, doskonała myśl!

— Zabierzmy się zaraz do roboty!

— Korzystajmy póki dozorca nie zmiecie śniegu — wołały dzieci jedne przez drugie.

pochwycił go któryś z chłopców i włożył w ręce Bałwanka.

Wyglądał on teraz wspaniale i górował nad rozbawioną gromadką.

Dzieci czas jakiś przyglądały się swemu dziełu, potem, jakby na komendę zaczęły bombardować Bałwanka: rzucano w niego śnieżkami, Romek okładał go kijem, a Czesio strzelał z łuku, który właśnie otrzymał w podarunku na gwiazdkę.

Bałwanek stał niewzruszony i obojętny na ataki zacietrzewionych dzieci.

Jeden tylko Janek, który najczynniejszy brał udział w zrobieniu Bałwanka, stał z boku i przyglądał się towarzy-

szom. Wreszcie, nie mogąc dłużej panować nad sobą, krzyknął:

— Dość tego! Dość tej niemądrej zabawy! Choć to tylko śniegowy Bałwanek, przykro patrzeć, jak cała gromada rzuca się na niego, wtedy, gdy on bronić się nie może...

Zastanowiły się dzieci nad słowami Janka i mimo woli wypuściły z rąk przygotowane pociski.

Aż do zmroku cała gromadka otaczała Śniegowego Bałwanka. Lecz nikt go już nie krzywdził. Było już zupełnie ciemno, gdy wreszcie matkom udało się zapędzić do domu rozbawioną i rozpromienioną dziatwę.



Zima

Przyszła zima piękna, biała,
Wieś zmieniła wygląd swój —
W białą szatę się odziała,
W śnieżnych płatków gęsty rój.

Śniegiem domy otulone,
Śnieg okrywa duży las,
Śniegiem drzewa przyprószone,
Tworzy bajkę wszystko wraz.

Stoi wioska senna, cicha,
Drzewa, domy wkrąg bieleją,
Czasem komin dym wypycha,
Który wichry wnet rozwieją.

Wilmir.



Pragnienie Zygmusia

Zygmuś bardzo pragnął mieć swoje własne saneczki. Niezmiernie więc był zadowolony, gdy na gwiazdkę otrzymał tę dawno upragnioną zabawkę.

Oglądał saneczki ze wszystkich stron, siadał na nich, ciągnął po podłodze i nie mógł doczekać się chwili, gdy nareszcie pozwolono mu pod opieką starszej siostrzyczki wyjść na ulicę i do parku.

Rozbawione dzieci z płonącemi policzkami i błyszczącemi oczkami zjeżdżały z górki, woziły się kolejno po zamarzniętych alejach parku, obrzucały się śnieżnemi kulami i z prawdziwym żalem przerwały rozkoszną zabawę, gdyż mrok zaczął zapadać.



Zygmuś tak był zachwycony tym pierwszym samodzielnym występem na własnych saneczkach, że gotów byłby dzień cały spędzać na dworzu i lęk go ogarniał na myśl, że może mróz nie utrzyma się długo, a niepożądana odwilż przerwie ulubioną rozrywkę.

— Chciałbym, żeby wiecznie była zima! — mówił z zapałem chłopiec. — Niechby śnieg padał od rana do wieczora i przez noc całą, a potem żeby niezamiatany leżał na jezdni i chodnikach. Byłoby ślicznie, biało i mógłbym po całem mieście jeździć saneczkami. Nie mogę zrozumieć, czemu niektórzy ludzie nie lubią zimy, i skarżą się na nią...

— Nie wszystkim na świecie jest tak dobrze, jak tobie, moje dziecko, więc nie dla wszystkich zima ma tyle uroków — rzekła mama.

Zygmuś puścił mimo uszów uwagę matki i w dalszym ciągu obserwował przez okno drobne, wirujące w powietrzu płateczki śnieżne.

Wieczorem dnia tego cała rodzina zgromadziła się przy stole. Ojciec czytał gazetę, nagle odłożył ją i rzekł:

— Jest coraz gorzej! Znów zamykają fabryki i masowo wymawiają pracownikom pracę. Znów setki rodzin znajdą się bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, a tu mróz mocno trzyma i gnębi wciąż wzrastające szeregi bezrobotnych...

Mama posmutniała, opuściła na kolana trzymaną w rękach robotę i cicho rzekła:

— Strasznie mi żal tych biednych ludzi, temwięcej, że klęska bezrobocia dotyka ich w okresie zimowym, gdy sama przez się egzystencja jest trudniejsza. Niechby jakoś przetrwali do wiosny, to może rozpocznie się sezon budowlany i roboty na roli i łatwiej będzie zatrudnić masy pokrzywdzonych.

Zygmuś uważnie przysłuchiwał się rozmowie rodziców. Zrozumiał doskonale, że mówiono o tem, że dużo, dużo różnych tatusiów i mamuś przestało nagle pracować wbrew swej woli, a co za tem idzie straciło możność zaspokajania najpierwszych potrzeb swych dzieci. Zrobiło mu się niezmiernie przykro. Wyobraził sobie co stałoby się z nim i jego siostrzyczką, gdyby nagle tatuś stracił pracę, gdyby zabrakło jedzenia i opału, wtedy, gdy na świecie było tak biało i zimno.

Nieśmiało zbliżył się do ojca i, opierając się o jego kolana, zapytał:

— Tatusiu, tatusiu, czy nie możnaby tak jakoś zrobić, żeby nie było, ani zimna, ani śniegu? Zgodziłbym się do końca życia nie jeździć saneczkami, byleby te biedne dzieci nie cierpiały zbytnio od zimna.

— Nie, synku, nie, to nie da się uskutecznić. Niema bowiem dotychczas siły, mogącej regulować zjawisko przyrody, a więc wysokość temperatury, ilość opadów i t. p. Wreszcie umiarkowany mróz jest bardzo pożyteczny, gdyż zabija różne zarazki i przyczynia się do ogólnej zdrowotności. Jest natomiast rada, by nikt nie cierpiał z powodu zimna i głodu. Widzisz, Zygmusiu, trzeba dążyć do tego, by całe społeczeństwo tak było zorganizowane, żeby każdy człowiek miał prawo do życia wzamian za swoją pracę i żeby tej pracy było zawsze dość, dla chcących pracować. A potem, synku, wysiłek pracownika powinien zapewnić mu możność wychowania dzieci, zaopatrzenia ich w pożywienie i ciepłą odzież, a nawet w małe saneczki, bo przecież nietylko chlebem się żyje, więc i uciecha każdemu się należy.

— Tatusiu, teraz już są zapewne ludzie, którzy tak myślą, jak ty i dążą do tego, by wszystkim było dobrze na świecie. Przyrzeknij mi więc, że gdy dorosnę poznasz mnie z nimi i poprosisz, by mi wskazali, co robić trzeba, żeby nigdy nie było bezrobocia i głodnych, zziębniętych dzieci.

— Przyrzekam, synku, przyrzekam...

A. P. G.



POJEDNANIE

(Ciąg dalszy).

W kilka dni potem, gdy czwarta klasa, nie zważając na obecność p. Hańskiego, zabawiała się wyrywaniem kartek z zeszytów, wyrabianiem z nich strzał i rzucaniem tych ostatnich na wszystkie strony, drzwi otworzyły się szeroko, a na progu stanął dyrektor. Szybko obiegł wzrokiem klasę, zauważył stosy papieru, leżące na podłodze i robbawione twarze chłopców, starających się przybrać miny niewiniątek, zmarszczył czoło, ściągnął brwi i głosem ostrym zawołał:

— Co to jest? Zapomnieliście chyba, że w szkole jesteście? Co znaczy ten śmietnik? Pozbierać mi to natychmiast! Jeżeli raz jeszcze powtórzą się te krzyki, cała klasa zostanie zatrzymana na kilka godzin. Panie Hański, zechce pan po lekcji wymienić mi nazwiska winnych, natychmiast usunę ich ze szkoły, gdyż inaczej nigdy nie dojdziemy do ładu z tymi urwisami!

Chwilę jeszcze chodzi między ławkami, wreszcie zwraca się do drzwi, na progu zaś przystaje i rzuca uczniom surowe, ostrzegawsze spojrzenie.

Tym razem niekłamany strach ogarnia winowajców. Wiedzą, że każde postanowienie dyrektora jest nieodwołalne, że ani skrucha winnych, ani łzy matek, ani prośby ojców nie zdołają nigdy wpłynąć na zmianę raz zapadłej decyzji. Każde słowo dyrektora przejmuje ich grozą, a gdy kto zostanie wezwany do Watykanu (tak bowiem nazywają gabinet dyrektora) to wizyta ta nigdy nie wróży nic dobrego. Siedzą więc cicho i starają się uważać do końca lekcji.

Podczas najbliższej pauzy koledzy otaczają dwuch głównych kierowników figlów i krzyków.

— No teraz Rybicki i Falski mogą zacząć się pakować, tylko patrzeć jak zaproszą ich do Watykanu — mówi jeden.

— Falski sprzedaj mi twój znak do czapki, przecież tobie już nie będzie potrzebny — drażni się drugi.

— Rybicki, kiedy wyprawisz pożegnalną fundę? — dopytują się inni.

Drugoroczni nadrabiają miną:

— Milczeć smarkacze, co wam do tego, jeśli który jeszcze słowo piśnie, to mu łeb rozwalę — krzyczy zaperzony Rybicki.

— Dużo go się boję, tego truposza, niech szpicluje, niewiadomo czy on sam nie wyleci ze szkoły jeszcze przed nami? — dodaje Falski.

— O niby to można tak wylać nauczyciela ze szkoły jak pierwszego lepszego uczniaka? — mówi niedowierzająco Jurek Gumowski.

— A ja ci powiadam, że dyrektor wszystko może: słyszałem jak mój korepetytor, wiesz ten z ósmej klasy, mówił do kolegi, że jak Papież w Watykanie jest nieomylny w rzeczach wiary, tak nasz dyrektor jest nieomylny i wszechmocny w sprawach szkolnych — upiera się Falski.

— Baj baju, będziesz w raju, a może w niebie, gdzie kura grzebie — szydzi nieprzekonany Jurek.

Cwartoklasiści ciągle oczekują katastrofy.

Codziennie przed lekcjami synek sekretarza, mieszkający w gmachu szkolnym obficie jest traktowany łakociami za udzielenie wiadomości, dotyczących tej kwestji. Malec wypycha kieszenie i policzki przysmakami i zapewnia, że dotychczas nie było żadnej sesji.

Tydzień cały mija, nie przynosząc żadnej zmiany. Wystraszeni niepewności chłopcy uspokoili się trochę, stopniowo też powracają do dawnych figli. Zrazu nieśmiało i ukradkiem pozwalają sobie na spacery po klasie podczas lekcji p. Hańskiego, potem coraz swobodniej krzyczą i rozmawiają, wreszcie organizują kocie muzyki, bombardowanie papierowemi strzałami i t. p.

Tak upływa parę tygodni.

Pewnego dnia w końcu listopada klasowy opiekun czwartej klasy zapowiada uczniom zmiany rozkładu lekcji z powodu nieobecności p. Hańskiego.

Falski tryumfuje:

— A widzisz, ty niewierny Tomaszu, — mówi do Jurka — a na czyjem się stało? Kto wyleciał pierwszy? Wyjechał, wyjechał — to się tak zwykle mówi, ale zobaczymy, kiedy wróci?

Jurek nie znajduje odpowiedzi, choć jeszcze wątpi w słuszność słów kolegi.

Mały Staś, dostawca wiadomości, też nic donieść nie może ani o przyczynie, ani o dniu powrotu p. Hańskiego.

Czwartoklasiści są czegoś niezadowoleni, niewiadomo czy brak im obecności tej wytrzymałej tarczy, o którą odbijały się ich figle i złośliwość, czy może... nieświadomie tęsknią za łagodnem spojrzeniem dobrych oczów p. Hańskiego.

Po kilkodniowej nieobecności p. Hański powrócił i zupełnie niespodziewanie przyszedł na lekcję. Na bladej jego twarzy maluje się wyraz strasznego przygnębienia, czerwone obwódki koło oczów świadczą o niewywczasie i nadają jego młodej postaci starczy, przygasły wygląd.

Chłopcy zaś są w wyjątkowo dobrem usposobieniu.

Jeszcze nauczyciel nie zdążył zająć miejsca na katedrze, gdy Rybicki w imieniu całej klasy oznajmił, że nikt nie przyniósł ani zeszytów, ani książek, myśląc, że lekcji języka polskiego nie będzie.

P. Hański potakująco skinął głową i rozpoczął objaśnianie nowej lekcji, uczniowie zaś natychmiast postarali się zapewnić go swem zachowaniem, że nic absolutnie nie zmieniło się podczas jego nieobecności, a oni zawsze gotowi są do dalszych zbytków.

Zabawa tym razem jest zupełnie nowa, tem bardziej ich porywa. Oto Falski, idąc rano do szkoły, spotkał ulicznego przekupnia, sprzedającego gumowe nadymane potworki. Swawolny chłopiec ani chwili nie wahał się poświęcić kilkodniowe śniadanie, kupił trzy największe i najprzeraźliwiej wrzeszczące potworki i pełen zadowolenia przyniósł je do klasy.

Początkowo myślał zabawiać kolegów tylko podczas przerw pomiędzy lekcjami, tymczasem zaś los mu sprzyjał i, wobec niespodziewanego powrotu p. Hańskiego, pozwolił urządzić zabawę na wielką skalę: usadowiwszy się w pierwszej ławce, Falski całą siłą swych młodych płuc nadymał i rzucał na klasę wrzeszczącego potworka.

Dziesiątki rąk wyciągało się po fruwające zabawki, jedni wyrywali je drugim, czyniąc piekielne zamieszanie. W tem jeden z potworków za silnie nadęty pękł z hukiem. Falski zostawił kolegom dwie pozostałe gumowe lalki i wyszedł z klasy, by zająć się naprawieniem zepsutej zabawki. Wyjście jego stało się jakby hasłem dla innych i, nie pytając o pozwolenie, kilkunastu uczni opuściło klasę. Pozostali jeszcze swobodniej zabawiali się nadymaniem i podrzucaniem wrzeszczących lalek. P. Hański kilkakrotnie próbował uspokoić szalejących chołpców, potem zamilkł i tępym wzrokiem zapatrzył się przed siebie. Nagle silnie podrzucony potworek odbił się o ścianę, uderzył go w czoło, potoczył się po stole i upadł u stóp katedry.

P. Hański wstał. Oczy jego stały się prawie ciemne; zacisnął szczupłe ręce, aż kości w stawach zachrzęszczały i głosem dziwnym, odmiennym zupełnie od zwykłego zawołał:

Dosyć, nieznośne dzieciaki! Jeżeli nie chcecie uznać we mnie powagi nauczyciela, uszanujcie mój smutek. — Wczoraj pochowałem matkę!

Ostatnie słowa wypowiedziane były prawie szeptem, poczem p. Hański osunął się na krzesło i zasłonił twarz rękami jakby dla pokrycia swej męki, a może niezadowolenia z chwilowej słabości.

W klasie momentalnie zapanowała grobowa cisza. Chłopcy patrzą na nauczyciela, potem zamieniają spojrzenia pomiędzy sobą, niektórzy ukradkiem oczy ocierają; wielu siedzi bez ruchu w osłupieniu i serdecznym żalu za czemś, czego nie umieliby nazwać. Jurek Gumowski, który niedawno stracił matkę, łka cicho.

Tymczasem powraca Falski z naprawioną zabawką, za nim wsuwa się reszta. Nowoprzybyli nie wiedzą, co znaczy ten nowy nastrój, przypuszczają, że p. Hański nastawiał dużo złych stopni, że zagroził skargą do dyrektora, chcą więc godnie zapłacić mu za te krzywdy kolegów i zaczynają przerwaną zabawę.

Zanim pozostali zdążyli uspokoić ich i opowiedzieć w krótkich słowach co się stało, do klasy wchodzi dyrektor.

Nie patrzy na uczni, lecz idzie wprost do katedry i grzecznym tonem, którym pokrywa silne niezadowolenie, zwraca się do nauczyciela:

— Podziwiam pańską cierpliwość, jednakże pozwoli pan zwrócić sobie uwagę na to, że zbytnia pobłażliwość jest demoralizującą; prosiłem już o łaskawe wymienienie mi nazwisk głównych sprawców tych awantur, bym mógł ich odpowiednio ukarać; odpowiedział pan, że, nie znając dostatecznie nazwisk uczni, nie może pan tego uczynić. Przychodzę więc raz jeszcze i proszę tym razem o wskazanie mi winnych, a ja sam dowiem się jak się nazywają!

(D. c. n.).